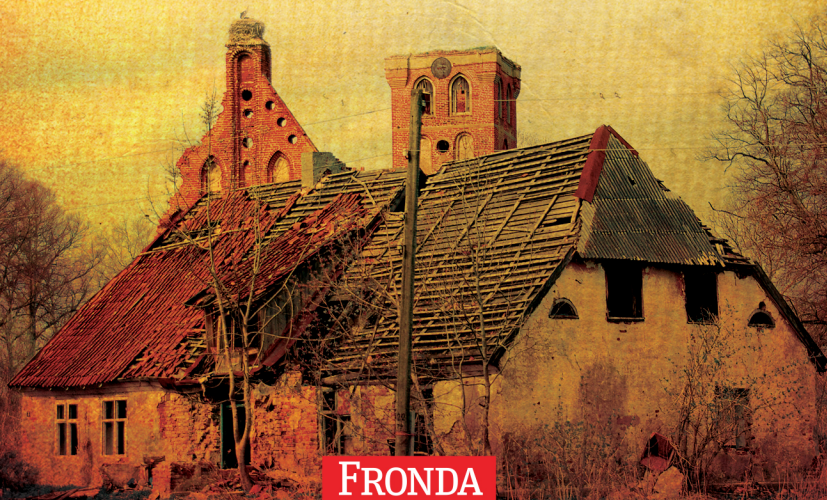




STANISŁAW SROKOWSKI

STRACH

OPOWIADANIA KRESOWE



FRONDA

STRACH

STANISŁAW SROKOWSKI

STRACH

OPOWIADANIA KRESOWE

FRONDA

[Kup książkę](#)

Okładka
Radosław Krawczyk

Redakcja i korekta
Hanna Śmierzyńska

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Zdjęcia na okładce
Fotolia.pl

Copyright © by Stanisław Srokowski
Copyright © by Fronda PL, Sp. z o.o.

ISBN 978-83-64095-12-2

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
fax. 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofrona.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

[Kup książkę](#)

Wszelkie podobieństwa nazw, nazwisk i postaci
do nazw, nazwisk i postaci realnych są dziełem
przypadku. Ale historie są prawdziwe,
zdarzyły się rzeczywiście...

SPIS TREŚCI

Pochówek Polski.....	9
Lekcja anatomii.....	29
Zabić matkę.....	53
Kotek.....	67
Obiad w Kutach.....	79
Księża.....	101
Stasio.....	115
Czerwona sukienka	133
Rozszarpany poeta.....	147
Przerwane wesele	175
Chłopcy, nie róbcie nam wstydu	189
Wyznanie rezuna.....	223
Posłowie	245



OPOWIADANIE PIERWSZE

[Kup książkę](#)

Otworzyły się drzwi i na progu stanął ojciec. Nie od razu go poznałem. W wojskowym mundurze, w długim zielonym płaszczu, z plecakiem na ramionach, w rogatywce z białym orłem na głowie, z aluminiową manierką u boku i w butach z cholewami na nogach. Jakiś wychudły, z zapadniętymi policzkami, ze szramą na czole i obandażowanym uchem. Stał i nie ruszał się. Jego ubiór był pomięty i nadpalony, jakby przez ogień skakał.

Matce dech zapało w piersiach.

Najpierw pobladła, potem poczerwieniała, chciała coś powiedzieć, wyciągnęła przed siebie ręce, rzuciła się w stronę ojca i zdławionym głosem wydusiła:

– Wróciłeś, Janek, wróciłeś...

Obejmowała go, a ja stałem z boku, samotny i zagubiony. Musiała to zobaczyć, bo krzyknęła:

– Stasiu, tato wrócił! To tato. Nie poznajesz?! Wrócił. Z wojny wrócił!

I mocno przyciągnęła mnie do siebie.

– Z wojny wrócił – patrzyła na ojca, jakby sprawdzała, czy nie jest duchem. – Tato – jeszcze wybełkotała, roztrzęsiona,

zmieszana, to wpatrując się w ojca, to przygarniając mnie do brzucha. Byłem mały. Miałem zaledwie kilka lat. Ale tę scenę zapamiętałem na zawsze.

Potem ojciec wziął mnie na ręce, tulił do piersi i burczał:

– Wyrosłeś, synku, wyrosłeś.

Postawił mnie na stole i dalej mi się przyglądał. Jakby sprawdzał, czy to naprawdę ja.

– Niby dwa miesiące to nic, a tak się zmienił – rzucił w stronę matki i przyglądał mi się uważnie.

Istotnie, w sierpniu 1939 roku wzięli ojca do wojska, a zjawiał się w domu pod koniec października i teraz nie mógł się naziwić, jak się zmieniłem. A mnie korciło, by dotknąć manierki, bo była czymś nowym w moim życiu, orła w koronie dotknąć, bo pięknie błyszczał. Chyba domyślił się, że mój wzrok zajęty już jest czymś innym, bo zdjął czapkę, dał mi ją do ręki i pokazując orła, powiedział:

– To nasz polski orzeł, synku, zapamiętaj.

A potem odpiął manierkę od pasa i patrzył, jak przerzucam spojrzenie z przedmiotu na przedmiot. Matka szybko coś upichciła, pomiaukując:

– Głodny jesteś, Janku, ciężka droga za tobą... Już podaję... Jajecznice na boczku... – śpiewnie szczebiotała, a ja się bawiłem już czapką, orłem i manierką.

Potem, gdy ojciec zrzucił plecak, zdjął płaszcz, umył się, posilił i jako tako do siebie doszedł, długo i ze szczegółami opowiadał, jak się dla niego skończyła wojna. Jak żołnierze masowo pędzili na koniach, pieszo i na rowerach do rumuńskiej granicy. Jak przedzierali się w trudzie przez most na Czeremoszu, a działka i inna broń wpadały do wody, lecz oni tysiącami parli naprzód, bo już na plecach czuli oddech nieprzyjaciela – so-

wieckie tanki i karabiny były tuż za nimi. Nie mieli nawet chwili czasu, by rzucić się w toń rzeki i ratować armaty. I wtedy oddział ojca został rozbity, tuż przy samej granicy, wojska sowieckie zablokowały mosty i nikt już nie miał szansy przebić się na Zachód. Dowódca dał rozkaz ocalałym z pogromu, by każdy ratował się jak może. Bo nie ma już Polski. Tak powiedział, nie ma już Polski, chłopcy. Została zagarnięta przez dwu wielkich wrogów, Niemców i Ruskich. I nie ma innego wyjścia, tylko uciekać, gdzie się da. – Ale pamiętajcie – dodał – że przyjdzie dzień, kiedy Ojczyzna was wezwie.

Nie rozumiałem wtedy, co to znaczy „Ojczyzna was wezwie”, ale musiało to znaczyć coś bardzo ważnego, skoro ojciec wyprężył się i wciągnął powietrze, jakby zamierzał salutować.

– Jesteście Polsce potrzebni – ojciec, mówiąc to, przyglądał mi się. – I teraz każdy z was odpowiada za najbliższych – po tych słowach mocno mnie przytulił. Westchnął głęboko, jakby chciał mi osobiście i w tajemnicy przekazać jeszcze jakąś ogromnie ważną wiadomość, ale się rozmyślił i ciągnął opowieść o powrocie z wojny.

Gdy pluton został rozwiązany, ojciec począł się rozglądać za znajomymi ze wsi albo z powiatu, żeby razem z nimi wracać do domu, bo to i raźniej, i bezpieczniej, a gdy się już zebrali, to na noc ukryli się w chaszczech, a o świcie jęli przemykać lasami w stronę Stanisławowa, Halicza i Podhajec. Najgorsze były wsie ukraińskie, mówił, które musieli omijać z daleka, ponieważ docierały do nich wiadomości, że Ukraińcy bardzo się zmienili i niechętnie widzieli polskich żołnierzy, a nawet na nich napadali, dlatego musieli się mieć na baczności. Po drodze niektórzy z nich odłączali się od grupy, zmniejszała się liczba niedobitków, aż w końcu zostało ich pięciu, dwu z Hnilcza,

jeden z Panowic i dwu z Horożanki, i przemieszczali się o zmroku, przeskakując z miejsca na miejsce i nasłuchując, czy nikt ich nie śledzi albo nie goni. I tak dotarli do Halicza, a z Halicza już było blisko do domu, więc w lepszych nastrojach zmierzali w stronę Byszowa i Dryszczowa. Nadszedł jednak dzień, kiedy mocno poczuli trudy wielodniowej wędrówki – byli wygłodzeni, chudzi, zmizerowani, a dwaj z nich z gorączką i świecącymi oczami chorowali – postanowili zakraść się do najbliższej ukraińskiej wsi, bo tylko takie mieli w zasięgu wzroku, i zdobyć jakąś kurę, kartofle lub cokolwiek innego do jedzenia, albo choćby coś do picia, i wreszcie odpocząć.

Gdy wydawało się, że wieś już śpi, na zwiady wybrał się ojciec z kolegą z Byszowa, Wojciechem Mąką. Niebo zaciągało się ciemnymi chmurami i zanosilo się na deszcz.

Podkradli się bliżej, niedaleko pierwszych chat i okazałej cerkwi, ukryli się w krzakach, oglądając się, nasłuchując i sprawdzając, czy ktoś nie wyjdzie z domu bądź nie zaskoczy ich od tyłu, bo nigdy nie wiadomo, czego mogli się spodziewać i co mogło się jeszcze zdarzyć.

I wtedy usłyszeli wyraźny, śpiewny głos dochodzący ze wzgórza położonego niedaleko cmentarza, jakby jakieś nabożeństwo się odbywało, ceremonia kościelna, nieznany rytuał. Ale o tej porze? Przed północą? W takiej ciemności? A poza tym, nie było tam żadnego kościoła ani cerkwi, tylko cmentarz i wzgórze. A jednak wyraźnie słyszeli ludzką mowę, potem znowu śpiewy, toteż stali się czujni, a równocześnie pchała ich ciekawość. Usłyszeli jakby chór kobiecy, który intonował ukraińskie pieśni. Słyszać było piękne, melodyjne i młode głosy. Robiło to wśród ciemności, ledwie rozjaśnionej błyskającymi na niebie gwiazdami oraz powoli wydobywającym się zza

chmur księżycem, niesamowite wrażenie. Byli wstrząśnięci i oniemiaли. Nigdy się z niczym podobnym o takiej porze nocy nie spotkali. A brali już udział w niejedynej uroczystości.

Chwilowy bezruch szybko minął, podpełzli w stronę grupy i przywarli w zaroślach, widząc sporą gromadę świątecznie ubranych ludzi – mężczyzn w wyszywanych koszulach, w czapkach z tryzubami na głowach, strojnie odziane kobiety w barwnych chustach i kolorowych spódnicach, wyszykowane jak na wesele, młodzieńki dziewczyny równo ustawione, jakby śpiewające w chórze. Obok nich stał ukraiński pop z długą siwą brodą, w liturgicznych szatach, wysoki, postawny i właśnie unosił dłonie do nieba, gdy zwrócili uwagę na jeszcze coś innego, na świeży, dopiero co usypany kopiec widniejący za plecami zgromadzonego tłumu; pośrodku tego kopca dostrzegli odsłonięty dół. Nie mieli pojęcia, co to wszystko znaczy, ta dziwna świąteczna atmosfera o tej porze, ci ludzie odświętnie ubrani, kobiety, dziewczyny, mężczyźni, pop, zawieszane na gałęziach drzew płonące lampy, żagwie i świece w rękach ludzi, a przede wszystkim ten świeżo usypany kurhan i dół w nim ziejący pustką.

Zerkali po sobie i wzruszali ramionami.

I wtedy zaczęły się uroczystości. Wcześniejsze śpiewy musiały być wstępem do nieznanego rytuału. Podsunęli się na skraj zarośli, by lepiej widzieć, co się tam dzieje. Ich oczom ukazała się scena, która całkowicie ich zmroziła.

Na znak uniesionej do góry ręki popa, zza tłumu wydobyło się dwu może dziesięcioletnich chłopców w czapkach z tryzubami na głowach, trzymających w rękach jakieś zawinięte pakunki, a za nimi trzy dziewczynki mniej więcej w takim samym wieku z czerwono-czarnymi flagami, w wyszywanych

koszulach ze znakami białego krzyża, w środku którego widniał tryzub wpisany w czarny trójkąt na czerwonym tle, a całość objęta była ciemną obręczą i literami w środku: OUN. Nie wiedzieli, co to wszystko znaczy, ku czemu zmierza. Nie mieli pojęcia, jaki sens mają te trzy litery. Nigdy dotychczas czegoś takiego nie spotkali. Wszystko było tajemnicze i zagadkowe.

Przestało być tajemnicze i zagadkowe dopiero wtedy, gdy chłopcy rozwinęli pakunki i wyjęli z nich mundur polskiego żołnierza, długą bluzę z kołnierzem obrzuconym haftem w kształcie wężyka, spodnie, czapkę rogatywkę z białym orłem w koronie, i widzieli, jak chłopcy wyjmują jeszcze polską flagę i podają ją, a potem mundur najgodniejszemu, jak można było wnosić z wyglądu, mężczyźnie, który stał obok popa z poważną, groźną miną i poruszał niespokojnie czarnym wąsem, co było widać, bo niebo się przejaśniło, chmury cofnęły, gwiazdy jasno świeciły, a księżyc wisiał na jednej z gałęzi i bił od niego wielki blask, więc wszystko było widoczne jak na dłoni.

Mężczyzna przyjął od chłopców mundur, flagę, ktoś podał mu też godło narodowe, wielkiego białego orła, obrócił się, a za nim pop i całe zgromadzenie, i dostojnym krokiem ruszyli w stronę kopca i ciemnego dołu. Mężczyzna stanął nad jamą, przez moment zawahał się, zdawało się, że sobie z czymś nie radził, bo dał jakiś znak, zbliżył się do niego drugi mężczyzna, wziął mundur i flagę, a najważniejszy uniósł orła do góry i na chwilę zastygł, jakby się nad czymś zastanawiał. Panowała wielka cisza.

Ojcu w tym momencie serce zamarło. Przestał oddychać i wpatrywał się z napięciem w to, co się tam działo. Mężczyzna wciąż trzymał w górze białego orła, a potem gwałtownym ru-

chem rzucił go do jamy. Przez chwilę zapanowała taka cisza, że słyhać było tylko szmer liści, lecz zaraz zerwała się burza oklasków. Gdy mężczyzna powtórzył tę samą ceremonię z polską flagą, unosząc ją do góry, a potem z pogardą w oczach i z wykrzywioną twarzą rzucił do dołu, rozległa się druga fala oklasków. Za każdym razem pierwszy zaczynał klaskać pop, a po nim biła brawa cała gromada.

Ojciec przecierał oczy ze zdumienia. Mąka leżał z otwartą gębą i wyglądał jak otumaniony.

Najważniejszy Ukrainiec wrzucał teraz po kolei do czarnej jamy części munduru, spodnie, bluzę i na koniec czapkę. Ale zanim ją wrzucił, demonstracyjnie zerwał z niej orzełka, splunął na niego i cisnął nim o ziemię, a kilku jego kompanów ze wściekłymi wyrazami twarzy deptało go, łamało, gniotło butami, a potem kopnęło do dołu, szyderczo się przy tym uśmiechając. Na końcu poleciała czapka. Za każdym razem tłum bił brawo. A pop z uznaniem kiwał głową, zaś najważniejszy obok niego burknął:

– Wże ne bude Polszczy. Wże wmerła – nachmurzył się, jakby się szykował do zadania ostatniego ciosu.

Ceremonia musiała powoli zbliżać się ku końcowi, bo głos zabrał pop, który stanął nad jamą i patrząc na tłum, powiedział:

– Jednych już się pozbyliśmy. Teraz pozbędziemy się drugich, Polaczków. To, co tutaj zrobiliśmy, to tylko znak, symbol, ale niedługo wymieciemy ich z naszej ziemi – huknął.

Rozległy się ogłuszające brawa. A pop jeszcze raz uniósł do góry dłoń i tłum uciszył się, wpatrując się w niego z nabożną czcią.

– Skończyły się czasy pańskiej Polski! – wołał po ukraińsku.
– Skończyło się hańbienie dumnego ukraińskiego narodu – na-

brał powietrza. – Właśnie pochowaliśmy Polskę – rozkręcał się i wołał coraz głośniejszym głosem. – Raz na zawsze i nieodwołalnie. Już nigdy but polskiego jaśnie pana nie zdławi naszego gardła. Pogrzeb tego trupa stanie się pierwszym krokiem do odrodzenia naszego wielkiego narodu.

Tak bardzo byli zasłuchani w jego słowa, jakby samego archireja mieli przed sobą.

– Nastął czas Samostijnej Ukrainy! – Teraz już krzyczał. – Czas tryzuba! – uniósł wysoko głowę, jakby czekał na aplauz. I doczekał się. Huragan braw trwał długo, a kiedy wreszcie ucichł, pop mówił dalej: – Za chwilę zakopimy grób, a na kurhanie stanie maszt i zawiśnie ukraińska flaga. I już na zawsze będzie tutaj łopotać – wydał wargi i tak zastygł. I wtedy posypały się kolejne brawa. – Kurhan sławy! – pop wskazał ramieniem kopiec. I wszyscy potoczyli wzrokiem za jego gestem.

Ojciec poczuł się tak źle, jakby umierał. I jakby to jego chowali. Zwalił się na niego ciężar, którego nie był w stanie dźwignąć. Leżał przytłoczony strasznym bólem, gniewem i przerażeniem. I nie wiedział, co ma robić. Pierwszy raz widział taki pogrzeb. Leżący obok Mąka też nie mógł wydobyć głosu.

Pop jakby sobie coś przypomniał, bo znów głośnie zawołał:

– Kochani bracia i siostry, posłuchajcie. To początek naszego wielkiego marszu po wolność. Jeszcze popłynie polska krew, popłynie długimi rzekami, a łzy szerokimi potokami. Nie zważajcie na to, gdy nadejdzie nasz czas. Będziecie oczyszczali z kąkoluszy naszą ukraińską ziemię. Musimy tutaj przysiąc, że nie spoczniemy, aż wszystkie wrogi korzenie, łącznie z małym dzieckiem, zniszczymy – wysunął do przodu podbródek, nadał się jak indor i ryknął: – Przysięgacie wobec Boga i jego

sługi?! – A tłum odpowiedział: – Przyszekamy! – Pop nabrał tchu i ciągnął: – Nie zważajcie na nic i nie kierujcie się sumieniem. Współlistnienie Polaków i Ukraińców to wrzód, który musicie przeciąć. Za zabicie Lachów dla tworzenia wolnej Ukrainy grzechu nie będzie. Kto w Boga wierzy, kto ma tyle sił, aby unieść strzelbę albo choćby nóż, niech idzie przeciwko Lachom pijawkom, a Bóg odpuści wam, bracia i siostry, wasze grzechy, jakbyście pielgrzymkę odbyli do Ziemi Świętej. Zabijajcie ich we śnie i na jawie, na polu, w lesie i w domu. Nie znajcie wobec nich litości. Uczcie swoich synów i córki, że wojna przeciwko Lachom to święta wojna. Ale dobrze się do niej przygotujcie. Nadszedł czas... – i huknął: – Ukraina bez Polaków! Ukraina tylko dla Ukraińców!

Ojciec był zdruzgotany.

– Pogrzebali Rzeczpospolitą – szepnął. – A teraz nas chcą pogrzebać. – Spojrzał na Mąkę. Jeszcze kilka dni temu z Rzeczpospolitą na ustach wyskakiwali razem z transzei. Jeszcze słyszał okrzyki porucznika Wilka, gdy wzywał do boju:

– Za Polskę! Za Rzeczpospolitą! Za Orła Białego!

I oto nie ma już Polski. Nie ma Rzeczypospolitej. Nie ma Orła Białego...

A na kurhanie wciąż trwała uroczystość. Pop zaintonował pieśń cerkiewną. Podjęły ją chórem kobiety, a po nich mężczyźni. Gdy skończyli śpiewanie, pop, dyrygujący całą uroczystością, dał nowy znak i mężczyźni, dobywszy skądś łopaty, poczęli zasypywać dół. Wiatr powiewał szatami, a wszyscy byli wpatrzeni w znikającą pod ziemią Polskę, jej flagę i Orła Białego.

Wysoki, postawny mężczyzna nachylił się ku dziewczynom z chóru, one pokiwały głowami i wybuchła radosna pieśń weselna, jakby wesele już się odbywało, uciecha zapanowała,

radość wielka, wszyscy byli szczęśliwi. Na szczycie kurhanu wyrosła i załopotala na wietrze czerwono-czarna flaga i zawisł tryzub.

Ojciec i Mąka poczęli się wycofywać. Nie czuli już głodu ani zmęczenia. Głowy mieli wypełnione smutnymi obrazami pochówku Polski. Czuli na sobie ciężar tego spotkania. Ojca bolało serce. Mąka jakby uwiądnął, nogi się pod nim ugiwały.

Kiedy wrócili bez jedzenia, koledzy rzucili się na nich z pretensjami, że nic nie przynieśli i jak tak dalej pójdzie, umrą z głodu. Byli tak wściekli, że już sami chcieli ruszać do najbliższej wsi, by zdobyć jakiś prowiant, ale gdy ojciec z Mąką zaczęli opowiadać, co im się przytrafiło i co zobaczyli, nastroje się zmieniły. Zrozumieli, że żyją już w innym świecie. Jeszcze kilka dni wcześniej mieszkali obok Rusinów czy Ukraińców, jak kto chce, byli ich sąsiadami, powiernikami, przyjaciółmi, a tu nagle pogrzeb Polski. I nie ma już dobrych sąsiadów, przyjaciół, znajomych. Trudno im było w to uwierzyć. Mimo przekonującej opowieści wątpliwości nie ustępowały. Bo jakże to tak?! Setki lat wspólnego życia, z dziada pradziada, wspólne wesela, święta, praca w polu. Nawet wspólne msze święte, w kościele albo w cerkwi. A teraz nagle koniec z tym wszystkim?! Koniec z przyjaźnią, znajomością, sąsiedztwem?! Jakże to tak? Nie mieściło się to w głowach. Jednym gestem można wszystko zmienić, przekreślić, wymazać? Było to nie do przyjęcia. A jednak odbył się pogrzeb Polski! Ciągłe nie mogli w to uwierzyć. I kazali jeszcze raz sobie powtarzać, wypytywali o szczegóły, flagi, tryzuby, popa, śpiewy, a ojciec i Mąka powtarzali. Wtedy dopiero uznali, że sprawa jest poważna i nie należy jej lekceważyć. To nie był kaprys tego czy innego popa, tylko jakiś nakaz odgórny, myśleli. Ale jaki? Skąd przyszedł? Nie wiedzieli. A że

byli żołnierzami, przeszli odpowiednie szkolenia, zdawali sobie sprawę, że jak w jednej wsi odbywa się taki pogrzeb, to może się on odbywać w setkach podobnych wsi, na całej polskiej ziemi. Ścierpła im skóra. Zastanawiali się, co mają począć ze sobą, z rodziną, z Polską. Nie dość, że Rzeczpospolita przegrała wojnę z Niemcami. Że nóż wbili jej w plecy Sowietci. Teraz jeszcze głowę podnosi sąsiad. I ma złe zamiary. Ale jakie? Jak daleko sięgają? – zastanawiali się. – Czy to nie były tylko popisy? Strośnienie piór? – Mieli markotne miny i smutne spojrzenia. Na dodatek, jak już wiadomo, byli wściekle głodni, wyczerpani, ledwie się trzymali na nogach, spali na stojąco. W końcu postanowili, że muszą przeczekać do następnego dnia, a później zdecydować, co robić dalej. Może pod wieczór na skraju lasu znajdą jakieś dzikie owoce i przeżyją, trafią na zająca, sarnę, a nawet na dziką, mają kilka karabinów, więc jakoś sobie poradzą. Na razie muszą ochłonać po tym wszystkim, co usłyszeli.

Zrobili krótki rekonesans i znaleźli stojącą pod lasem samotną i, jak im się wydawało, opuszczoną stodołę, a właściwie szopę ze słomą w środku i postanowili w niej przenocować.

Najstarszy stopniem, kapral Bakula, wyznaczył wartownika, bo musieli się pilnować, by nikt ich nie zaskoczył, więc kapral wyznaczył szeregowego Cieślika, który miał pełnić wartę przez dwie godziny, a potem zmienić go miał starszy strzelec Iglak, a po Iglaku, już nad ranem, ojciec. Pozostali poszli spać. Porozkładali się, gdzie kto mógł, przeważnie na dole, na wszelki wypadek, bo gdyby się coś działo, łatwiej będzie uciekać. Tylko ojciec wspiał się na stertę słomy, leżał między dwiema belkami, by się w nocy nie zsunąć, i szybko zasnął. Zawsze lubił odosobnione miejsca, góry, pagórki, stożki, wspinanie, i tak mu zostało. I wtedy naszedł go sen, ale jakby i nie sen, a głos

na jawie, ale i nie na jawie, tylko we śnie, jakby sen we śnie, i wszystko naraz, jawa, nie jawa, i sen, nie sen. W pierwszej chwili nie wiedział, co to wszystko znaczy. Słyszał jakieś hałasy, głosy, krzyki, wołania. Myślał, że to echa wojny, piętrowe wspomnienia, czyli sen we śnie. Ale to nie był sen we śnie. To była realna, konkretna rzeczywistość. Otworzył oczy i usłyszał dochodzące go z dołu jęki, skargi i szyderczy śmiech. Już świtało. Przez dziurę w dachu wdzierało się ostre światło. Uniósł głowę i zdrętwiał. Na klepisku leżeli powiązani sznurami jego koledzy, jeden obok drugiego, a nieznani mężczyźni wciskali im do gardeł szmaty i kneblowali usta. Powoli krzyki i jęki przycichły. Nad żołnierzami kołysali się zarośnięci chłopcy z nożami, siekierami i widłami w rękach. W mig pojawił się ktoś. Zostali zaskoczeni we śnie. Mimo warty. Pewnie wartownik, tak samo zmęczony i bezgranicznie wyczerpany jak inni, zasnął i wtedy tamci wtargnęli do stodoły, rzucili się na śpiących, sznurami ich powiązali jak prosiaki i stali teraz rozkraczeni i szydzący, w pozach zwycięzców.

– No i gdzie ta wasza pańska Polska? – kpili.

– Gdzie ułani na koniach?! Szlachta, całuję rączki, wasze zamki, pałace i dwory!? Czyje teraz to wszystko?

Żołnierze próbowali wydobyć z siebie głos, ale z gardeł dobywało się tylko niewyraźne rzężenie, ciężkie gulgotanie i zdławione wybuchy wściekłości, jakby do siebie samych mieli pretensje, że dali się tak zaskoczyć i schwytać w pułapkę. Leżeli twarzami do ziemi, z wykręconymi na plecy rękami i związanymi nogami. A tamci triumfowali. Chwyтали się pod boki i dopiekali ofiarom:

– Gdzie wasz marszałek Rydz? Jak tchórz wymknął się z Polski!

– Gdzie butne miny i pogarda dla biednego ukraińskiego ludu?

– Aż się kurzyło, jak z podwiniętymi ogonami zmykali wasi dowódcy przez rumuńską granicę. A wy nie zdążyliście, polskie orły?! – zarykiwali się ze śmiechu i zjadliwie dogadywali. A żołnierze co chwilę podrygiwali, podskakiwali, jakby się zrywali do buntu, lecz nie mieli żadnych szans. Byli tak mocno skrupowani, że żaden z nich nie był w stanie uwolnić się z więzów.

Ojciec, niewidziany przez nikogo, ostrożnie obserwował scenę na dole i zastanawiał się, co ma zrobić. Skoczyć na mężczyzn, którzy trzymali siekiery w garściach, czy uciekać ze stodoły. Skok nic by nie dał. Też by go związali jak warchlaka. I zadźgali nożami. Uciekać również nie miał gdzie. Rozglądał się z nadzieją w sercu, że znajdzie jeszcze jakąś lukę w tym szczelnym kordonie, jakieś wolne miejsce na dole, dziurę w ścianie, po tej lub po tamtej stronie, da nura i zniknie w krzakach. Jednak nie znalazł niczego takiego. A równocześnie drżał na myśl, że któryś z drabów wespnie się na stertę słomy i go odkryje. Zerkali w górę, popatrywali na belki, lecz nie sprawdzali, co się wyżej znajduje, jakby uznali, że wszyscy padli ze zmęczenia na klepisko i sen ich zmorzył. Ojciec jednak wciąż czuł się niepewnie. Zdał sobie bowiem sprawę, że w każdej chwili mogą go znaleźć. Nawet pomyślał, by się zaryć w słomie, ale zląkł się, że usłyszą jego ruchy i będzie po nim. Stali koło wrót, panowali nad całością i było ich dziesięciu. Policzył dokładnie. I to kilkakrotnie. Mysz by się nie prześlizgnęła. Przed oczami przeleciał mu pogrzeb Polski. Śmierć w ciemnej jamie. Przeszły go ciarki. Zdawało mu się, że tak się trzęsie, iż porusza także słomę. Ale nie poruszał. A ich miał jak na dłoni. Stali z butnymi minami i pogardliwymi uśmieszkami.

– Nie mogłem, Mańciu – zwrócił się do matki, jakby się usprawiedliwiając. – Nie mogłem nic zrobić. Bo cokolwiek bym zrobił, już by mnie nie było. A tak wciąż żyłem i miałem nadzieję, że Bóg mnie wybawi. A ja ściągnę wtedy pomoc. Ale gdzie tam?! Ruszyć się nie mogłem – powtarzał. Prześladowały go wyrzuty sumienia. I dręczyły do końca życia.

No ale teraz leżał nieporuszony.

I wtedy się zaczęło. Związanie i upokorzenie to był dopiero początek.

Rzucili się na kaprała Bakułę, jako najstarszego stopniem, unieśli go do góry, rzucili na deski ułożone na dwu kozłach, zdarli mundur, ściągnęli buty i przez chwilę zostawili tak nagiego, powięzanego sznurami. Nie spieszyli się. Zachowywali się tak, jakby pragnęli go poddać jakiejś próbie. By poczuł strach, by się tym strachem napełnił, by strach przeniknął jego ciało i duszę, by wdarł się do serca i umysłu. I żeby udzielił się pozostałym żołnierzom. I zobaczyli ten strach w oczach Bakuły. Jakiś toporny osiłek, jak się później okazało, dowódca tej zgrai, z ciężkimi łapami i kamienną gębą, kazał wszystkich jeńców poprzewracać do góry twarzami, by mogli widzieć, co jego podwładni robią z kapralem.

Potężni mężczyźni rozkaz natychmiast wykonali. I już żołnierze leżeli na plecach. Wtedy dopiero zabrali się za Bakułę. Pękaty dowódca skinał głową, a dwaj młodzi chłopcy w wyszywanych koszulach, poszarpanych bluzach i pomiętych spodniach, stanęli z nożami nad Bakułą i zaczęli się nad nim pastwić. Najpierw się nim bawili. Gwałtownie unosili do góry noże i trzymali je nad głowami, jakby się zastanawiali, w co uderzyć, w oko, szyję, brzuch czy może w genitalia.

Ojciec, widząc tę scenę, zastygł, przestał się trząść, jakby było coś znacznie gorszego niż strach, jakaś wyższa siła idąca z głębi ciała, która niosła za sobą pytanie, po co jest życie i jak się ono kończy. Tak nam później tłumaczył. Coś takiego go naszło. Patrzył w dół, przepełniony nieznany dotąd bólem i czuł wielki ciężar w sobie. I z tym ciężarem w oczach patrzył, jak nagle noże w tych rękach, które wisiały nad ciałem kaprała, po słowie dowódcy „rękawiczka”, spadły w okolicy łokcia i wbiły się głęboko w ciało, a kaprał skręcał się i wył z bólu. A oni kroili mu skórę, jak gdyby kroili zwierzę do uboju. Wycinali wokół łokcia krąg i popatrywali na herszta, jakby go pytali, czy dobrze kroją, zgodnie z jakąś instrukcją, wedle ustalonych z góry reguł i norm. Watażka skinął głową, tamci się oblizali i cięli dalej. Gdy już nadcięli skórę dokoła łokcia, odłożyli noże na bok i znowu zerknęli na herszta. Ten dał znak, by pracowali dalej. Była to bowiem dla nich taka sama praca jak kopanie ziemniaków czy sznurowanie butów. Popatrywali po sobie i ściągali skórę z ręki, poczynając od łokcia, wzdłuż przedramienia i posuwali się nieśpiesznie w stronę dłoni. Jakby z zającą skórę ściągali, raz ciągnęli z zewnętrznej strony ręki, raz z wewnętrznej, aż dotarli do nadgarstka. Na moment przerwali, rozejrzeli się za czymś, podszedł do nich jeden z pozostałych oprawców, wyjął z kieszeni zawiniątko z solą i posypał nią ranę. Kaprał zawył, wygiął się, unosząc do góry brzuch, wyrывał się ze sznurów, lecz bezskutecznie, więzy były mocne i wrzynały się w ciało, więc szarpiąc się, odczuwał jeszcze silniejszy ból. Ściągali mu już skórę z dłoni i palców. A gdy skończyli, unieśli ociekającą krwią „rękawiczkę” zwycięskim gestem do góry i zawiesili na jakimś haku, jak flagę narodową, by schła. Kaprał wił się z bólu.

Pozostali żołnierze patrzyli na tę scenę z przerażeniem, pobladli i zastygli.

Ojcu zmącił się umysł i wydawało mu się, że walczy na wojnie z jakimiś potworami, wojna zamienia się w polowanie, polowanie w musztrę, musztra w pogoń za zwierzyną, która ma ludzkie głowy, ogarnęły go jakieś rojenia, koszmary senne, zwiady, omamy i halucynacje. Wielokrotnie potem to powtarzał.

Oprawcy odwrócili się ku hersztowi i czekali na jego rozkazy. Podeszedł do nich, poklepał po plecach, powiedział, że spisali się na medal, zdali egzamin i udowodnili, że są silni i dzielni, zasłużyli się Samostijnej Ukrainie, tak powiedział, Samostijnej Ukrainie, i mogą teraz odpocząć. A do dzieła przystąpią pozostali.

I przystąpili.

Zrzucili kaprała z desek, a on spadł na ziemię i wył na klepisku.

Spętanych żołnierzy układali teraz na deskach dwaj inni oprawcy, a po nich następni i tak aż do rana. Chwyтали noże, siekiery lub piły i pastwili się nad ofiarami. Jednemu oczy wykłuli, drugiemu jakiś niezdarny wizerunek ptaka z rozwiniętymi skrzydłami nożem wycięli na piersiach i krzywiąc się z obrzydzeniem, wykrzykiwali, że to polski orzeł, który do nieba nie polecą, trzeciemu pasami skórę z pleców ściągali, a w stodole rozlegały się stłumione przez kneble jęki i krzyki.

Ich jednak to nie obchodziło.

Siekierami palce u nóg odrąbywali, przez wargi do uszu druty przeciągali.

Ojciec poczuł jak pot zalewa mu twarz, skronie i ścieka po szyi. Znowu opadły go jakieś zjawy i widma, i dusiły. Nawiedzały omamy, rojenia i napady gorączki. Wydawało mu się, że jest w kilku miejscach naraz. Tracił przytomność. Ale widział

jeszcze, jak wykrwawiają się jego koledzy, a krzyki i jęki odbijały się echem od ścian. Zdawało mu się, że znowu wróciła wojna, na okopy waliły się pociski, spadały bomby, a trupy fruwały w powietrzu. A potem unosiły się ku niebu i machały mu rękami. Aż ocknął się z tych koszmarów i przetarł oczy.

Było już jasno, dzień wstał na dobre. Słońce świeciło i wdzierało się do wnętrza przez otwarte wrota i dziurę w dachu. Na zewnątrz zauważył dwu wartowników z karabinami na plecach. Obserwowali okolicę, choć i tak mało kto mógłby się tu zbliżyć. Stodoła znajdowała się daleko od wsi, więc wartownicy niewiele mieli do roboty. Palili papierosy i coś tam sobie w dali pokazywali.

A w stodole jęki, krzyki i wycia nie ustawały.

I te jęki, krzyki i wycia uratowały mu życie.

Wykorzystał moment, gdy już wszyscy krzyczeli z bólu i powstał jeden wielki harmider, zarył się w słomie i tam pozostał. Dochodziły go stłumione rozkazy i chrapliwe, męskie odpowiedzi. Domyślał się, że jakieś nowe i gorsze cierpienia znoszą teraz jego koledzy. W pewnym momencie usłyszał mocny głos, jakby komendę, a po chwili poczuł dym. Dochodzące go wołania słabły, jakby mężczyźni się oddalali. A ogień lizał mu już stopy. Ogarniały go języki płomieni. Wydobył się na wierzch i rzucił w dół, by ratować kolegów. Ale potężna ściana ognia odgrodziła go od nich. Zdążył zobaczyć tylko w błysku sekundy obraz, który nim wstrząsnął do głębi. Żołnierze wisieli przywiązani do belki głowami w dół, a ogień zżerał im twarze, szyje i ramiona. Buchnęły mu w oczy płomienie. Paliła się już cała stodoła. Rzucił się w stronę wrót, parł po omacku przez ogień w kierunku światła i po chwili znalazł się na dworze.

Gdy padł na ziemię, paliły mu się nogawki i rękawy u płaszcza. Szybko zdusił płomień. Słyszał jeszcze wycie kolegów, którzy umierali w płonącej stodole, a on nie był w stanie im pomóc. Ogień buchał z taką siłą, że musiał się gwałtownie cofnąć, by go nie spalił. A wokół nikogo już nie było.

– Nie mogłem, Mańciu – zwracał się załamany do matki, siedzącej z pochyloną głową. – Nie mogłem nic zrobić. – Patrzył na nią w taki sposób, jakby prosił o przebaczenie. – Nikt i nic nie mógł już zrobić – powtarzał.

Matka się do niego przytuliła i mocno objęła.

Usłyszałem jeszcze, jak spytała:

– I co teraz, Janek, z nami się stanie?

– Nie wiem, Mańciu – odparł i spojrzał w okno.

A za nim skierowała tam wzrok i matka.

Ja także spojrzałem w okno i zobaczyłem, jak mój ukraiński przyjaciel, Sławko, w czapce z tryzubem nad czołem, buduje jakiś kopiec i wbija w niego czerwono-czarną flagę.

A nad nim stoi jego dziadek i coś do niego mówi.